

poprzez udział w penetracji ziemskiego pejzażu.

*Lubię patrzeć na jasność
z pozycji cienia
Na ziemię pieszczoną
promieniami światła
i czasoprzestrzenną*

(„Fatamorgana”)

Takie wiersze powstają w wyniku wewnętrznych konfliktów, są psychologiczną potrzebą przedstawiania jakiegoś konkretnego faktu z własnego życia – są próbą nazwania w znaczeniu również metafizycznym. To poezja, która pragnie oddania rzeczywistości bez upiększeń czy też idealizowania bez nie-domówień. To właściwie problem moralny czyli wybór stosownej drogi działania. Profesor Kazimierz Śniegocki omawiając tom wierszy Dębrowskiego napisał: „Przed oczami czytelnika jawią się raczej obrazy społecznej rzeczywistości, jako stanu kondycji ludzkiej jako takiej. I to nadaje tej poezji wymiar uniwersalny.”

Zapewne od wieków dla człowieka istotnym problemem zdawał się być problem egzystencjalny – bo stanowił on istotę bytu pojedynczego człowieka – życie, miłość i śmierć. Człowiek jest samotny, jakże często zdany na dramatyczne rozmyślanie i rosnący strach „i z trudem toczyłem z góry / przegraną, wewnętrzną walkę – / bez dna, bez wyjścia, bez końca” czytamy w wierszu „Błogosławieństwo”. Prostota tego wiersza polega na tym, że puenta czyni go w pełni „metaforą”.

Metafora – napisała Hannah Arendt – „nazywamy ją także obrazem ducha, lecz jest to raczej ścieżka wytyczona przez myślenie, mały niepozorny trakt pozaczasowości wytyczony przez aktywność myślową w rzeczywistości czasoprzestrzennej danej narodzonym i śmiertelnym ludziom”.

*Boję się umierać,
bo nie wiem, czy ziemia, po której chodzę,
jest jeszcze moja
(...)*

*...i znowu nie jest istotne,
że ten wiersz
nie poderwie z gruzów żdźbła oziminy,
nie wskrzesi spróchniałego kościotrupa,
ani szmacianych kukieł,
którymi bawiliśmy się
w dzieciństwie*

(„Inna jesień”)

Powroty do dzieciństwa – to czas niezwołniony od konieczności przemijania, od marzeń i rozczarowań, w których gnieźdzą się wszystkie urazy – ale czas nadaje rytm biegowi zdarzeń i biografii samego poety: „Byli tacy młodzi / piękni, niewinni i zakochani / ona, / on w oficerskim mundurze / i mały, pucołowaty berbec” (...) zamykam oczy / dotykam dłońmi stracony czas / i posłusznie / chyłkiem / próbuję zamknąć / wykrzywione drzwi”. Stąd próba tworzenia rzeczywistości jakby wykreowanej na granicy snu i nieśnienia okalającej arkadii – w snach śpiewają ptaki, a „wolność istnieje tylko w oczach duchów – odpychamy sny ołowianymi stopami –

te tytaniczne, dębowe, wrota wyniosłe i potężne, niczym wejście do średniowiecznej baszty. „Wydaje się, że sny czerpie się nie tylko z zasobów własnej duszy, że śni się bezimiennie i wspólnie, choć każdy ma własny sposób” – napisał Tomasz Mann w „Czarodziejskiej Górze”. A więc nie istnieje żadna kraina ocalenia zwana marzeniem, nie ma więc ucieczki od czasu teraźniejszego:

*zamykamy nienawiść
w szufladach przyzwyczaję
po drogach przerażenia
maszerują nagie fakty*

(„Bez wyjścia”)

Poeta zadaje pytania w rodzaju – jaki jest więc człowiek w pojęciu własnego „katastrofizmu”, w splocie odwiecznych kataklizmów i w miarę krótkich uspokojen: „Kto nie pamięta przeszłości / ten nie ma przyszłości / choćby powtarzał wciąż te same słowa”.

Czas jednak robi swoje – poeta Andrzej Dębrowski usiłuje znaleźć całkowicie nowe obszary tam, gdzie może i powinna pojawiać się poezja. Trzeba się nad poetą pochylić, spróbować odczytać tę poezję, która przypomina trochę Pana Cogito, który w gąszczu treści i symboli chce odnaleźć klucz do własnych znaczeń i nadziei. To kwestia poszukiwania sposobu życia poprzez poezję – to płomień, który świeci w twórczości Dębrowskiego obiecującym blaskiem...

Andrzej Gnarowski

Andrzej Dębrowski, *...na ziemi jestem chwilę...* Redakcja, projekt okładki i zdjęcie na I stronie okładki: Andrzej Dębrowski. Zdjęcie na IV stronie okładki: Andrzej Walter. Wydawnictwo Autorskie Andrzej Dębrowski, Żelów 2021, s. 64.



Andrzej Dębrowski

Modlitwa codzienności

Mojej Mamie

Z mlekiem matki przyjęłam świat –
w jego pierwszym drgnieniu, łzie, uśmiechu.
Kiedy otworzyłaś mi oczy
na poranne światło życia,
nie wiedziałam jeszcze,
ile siły może mieścić jedno spojrzenie.

Twoje ręce – spracowane,
zmęczone dniami i krosnem losu,
pamiętają każdy szew mojego dzieciństwa.
Każdą nitkę zszywałaś miłością,
każdą dziurę cerowałaś czułością,

by nie rozpadło się nic,
czego nie potrafiłem jeszcze utrzymać.

Dałaś mi siłę – nie słowem, a przykładem,
milczeniem, które mówiło więcej
niż tysiące rad.

Pokazałaś, że życie to nie bajka,
ale w tej brutalnej prawdzie
kryje się ciepło, które tylko Ty
potrafisz dać.

Twoje zmarszczki – mapa oddania.
Twoje oczy – lustra nieprzespanych nocy.
Twoje ramiona – schronienie przed światem,
którego tak często się bałem.

Praca
zawsze była dla Ciebie czymś więcej
niż obowiązkiem.
Była modlitwą ciała,
rytuałem serca.
W Twoim zmęczeniu było piękno –
niesione bez słowa,
w ciszy, która budowała dom.
Twoje spracowane ręce
nosiły ślady nie tylko wysiłku,
ale łagodności wobec losu.
Były świadkami ofiar,
których nikt nie widział
i cudów, o których nikt nie mówił.

Wierzyłaś, że drugi człowiek
to dobroć –
nawet jeśli ukryta, poraniona,
potrzebująca czasu i modlitwy.
Twoje oczy widziały dalej,
niż kiedykolwiek potrafiły moje.
Szukałaś w ludziach światła –
i zapalałaś je w ciszy.

Teraz, po latach,
gdy sam noszę garść siwizny i zmartwień,
wracam myślą do Ciebie –
codziennie, każdego ranka.
Patrzę na Ciebie,
jakby czas zatrzymał się w Twojej czułości.

A kiedy wracam z pracy – zmęczony,
czasem milczący, czasem zagubiony –
jesteś.

Zawsze czekasz,
jak matka czeka na syna marnotrawnego,
z otwartym sercem,
z kubkiem herbaty i ciepłem,
którego nie daję żadne ognisko,
oprócz tego, które Ty rozpalam.

Matczyna miłość...
to nie tylko słowo,
to świętość w codzienności,
to modlitwa szeptań nad kołyską,
to milczenie, gdy świat krzyczy,
to dłoń na czole,
to „uwaga na siebie” zamiast „do widzenia”.

Jesteś początkiem każdego mojego dnia.
I choćby nie wiem jak daleko poniosło mnie
życie,

będiesz moim domem –
tym pierwszym i ostatnim.